

BJÖRNSTJERNE BJÖRNSSON

MARSZ WESELNY

Björnstjerne Björnson

Marsz weselny

«Public Domain»

Björnson B.

Marsz weselny / B. Björnson — «Public Domain»,

Ole Haugen, ubogi norweski grajek, z okazji zaślubin córki skomponował piękny marsz weselny, który odegrano podczas ceremonii. Marsz miał przynosić szczęście młodym. Kolejne pokolenia wstępują w związki małżeńskie — mimo przeciwności majątkowych — przy melodii marszu i faktycznie ich małżeństwa są szczęśliwe. Dopiero na ślubie prawnuka Olego marsz nie zostaje odegrany — Randi i Endrid muszą poczekać, aż radość wstąpi w ich związek... Bjørnstjerne Martinius Bjørnson to norweski pisarz tworzący przede wszystkim w drugiej połowie XIX i na początku XX wieku. Był również znanym publicystą, opowiadał się za ruchami emancypacyjnymi, wspierał proletariat, a także był przeciwnikiem kary śmierci. Marsz weselny to opowiadanie z 1872 roku. W 1903 roku pisarz został wyróżniony Nagrodą Nobla w dziedzinie literatury, doceniono zarówno jego twórczość poetycką, jak i prozatorską oraz dramatyczną.

© Björnson B.

© Public Domain

Содержание

Конец ознакомительного фрагмента.

12

Björnstjerne Björnson

Marsz weselny

W ubiegłym stuleciu mieszkał w jednej z największych skalnych dolin Norwegii grajek, który później został uwieczniony w historii podań ludowych. Przypisywano mu sporo bajek i melodii; kilka z nich usłyszał on, jak opowiadano, od duchów podziemnych, jedną piosenkę nawet od samego diabła, a inną skomponował, aby uratować swe życie, i tak dalej...

Spośród wielu marszów, jakie ułożył, wślawił go zwłaszcza jeden, którego historia nie skończyła się wraz ze śmiercią twórcy, ale przeciwnie, wtenczas dopiero zaczęła się na dobre.

Grajek, Ole Haugen, biedny chałupnik mieszkający wysoko w górach, miał córkę imieniem Aslaug, która odziedziczyła po nim w spadku niepospolity rozum oraz zdolności muzyczne. Dotyczyło to nie tyle samej gry, ile tego, co przenikało całą jej istotę. Miała w sobie coś lekkiego i radosnego, zarówno w mowie, jak śpiewie, w chodzie i tańcu. Posiadała także szczególnie miły głos, który był właściwością całego rodu.

Pewnego dnia powrócił z dalekich podróży młody chłopak, syn bogatego właściciela starego folwarku Tingvold. Był on trzecim jego synem. Dwaj starsi zginęli tragicznie, gdyż utonęli podczas powodzi, i on miał odziedziczyć ojcowskie gospodarstwo.

Spotkał on Aslaug na wielkim weselisku i od razu się w niej zakochał. Było to wówczas rzeczą niesłychaną, by syn bogatego właściciela, pochodzący z tak zasiedziałej, starej rodziny, mógł się starać o dziewczynę biedną i z niskiego stanu, jaką była Aslaug.

Ale młodzieniec ten przebywał długo na szerokim świecie i oświadczył rodzicom, że na obczyźnie da sobie sam radę, więc jeśli nie otrzyma tutaj tego, czego pragnie, wyrzeknie się dziedzictwa.

Przestrzegano go ogólnie, że taka obojętność wobec rodu oraz lekceważenie dziedzicznej ziemi zemści się na nim. Mówiono również, że w tym wszystkim były czary Olego Haugena, być może dzięki mocy, wobec której ludzie powinni drżeć ze strachu.

Przez cały bowiem czas, kiedy pomiędzy synem a rodzicami toczyła się walka o tę sprawę, Ole Haugen był w wyśmienitym humorze. Gdy wreszcie syn wygrał, grajek oświadczył, że skomponował dla młodej pary marsz weselny, o którym nie zapomną najdalsze pokolenia rodu Tingvoldów.

– Lecz niech Bóg zmiłuje się – dodał – nad panną młodą, która przy jego dźwiękach nie pójdzie tak ochotnie do ołtarza, jak córka biednego komornika z Haug!

Ludzie upatrywali w tym wpływ złego ducha.

Tak mówi podanie. I zaprawdę bardziej od podania potwierdza się fakt, że jeszcze do dzisiejszego dnia w całej okolicy ludzie przepadają za muzyką i śpiewem, przeto w dawnych czasach zamiłowanie to musiało być nierównie większe. Nie mogłoby to trwać długo, gdyby nie zjawiał się od czasu do czasu ktoś, kto wzbogacał i utrwał ów skarb tradycyjny. Ole Haugen musiał na tym polu położyć zasługi niepoślednie¹.

Legenda powiada dalej, że marsz weselny Olego Haugena był najweselszym, jaki słyszano kiedykolwiek na świecie. Toteż para, która pierwsza przy jego dźwiękach pojechała do kościoła i nim została powitana po powrocie do domu, była najszcześliwsza spośród wszystkich, jakie od wieków dawnych zjawily się na ziemi. I chociaż mieszkańcy Tingvoldu z dawien dawna byli piękni i dorodni, a od tego czasu stali się jeszcze piękniejsi – to onej parze i pod tym względem należy przyznać pierwszeństwo.

Przechodzimy teraz od legendy do prawdy, na Olem Haugenie kończy się bowiem podanie, a zaczyna rzeczywista historia. Wedle niej ów marsz weselny stał się klejnotem rodzinnym, którego nie używano tak rzadko, jak to bywa z innymi klejnotami. Przeciwnie, posługiwano się nim często,

¹ niepośledni – tu: niemały. [przypis edytorski]

to znaczy, że marsz ów w całym Tingvoldzie ciągle nucono, śpiewano, świstano, trąbiono, grano od paradnej komnaty aż do stajni, od stodół i gumien do lasu, a jedyne dziecko, jakie mieli szczęśliwi małżonkowie, było przez ojca, matkę, niańkę i resztę służby w takt owego marsza kołysane i huśtane na rękach. To samo dziecko, gdy tylko mogło wymówić czy wyśpiewać cokolwiek, samo z siebie zaczynało znowu od tegoż marsza weselnego.

Dziecko nosiło imię Astrid. Dar śpiewu był wrodzony każdemu członkowi rodziny, więc mała dziewczynka, od lat dziecięcych żywa i wesola, niebawem po mistrzowsku wyśpiewywała tę triumfalną pieśń rodziców, wieszczącą jej samej najlepsze nadzieje na przyszłość.

Nikogo zapewne nie zdziwi, jeśli powiemy, że Astrid doszedłszy do lat dojrzałych sama zapragnęła wyszukać sobie męża. Może przesadą jest to, co powiadają o liczbie jej konkurentów – prawdą jest atoli, że bogata i urodziwa dziewczyna doszła do dwudziestu trzech lat życia i nie miała narzeczonego.

Pewnego dnia wyszło na jaw, co było powodem tego dziwnego faktu. Przed wielu laty matka Astrid wzięła do siebie wprost z gościńca opuszczone dziecko cygańskie. Co prawda chłopak nie był Cyganem, ale tak go wszyscy nazwali, a przede wszystkim Aslaug sama.

Gdy się matka dowiedziała, że ta szalona Astrid – czy ktoś może sobie wyobrazić podobne głupstwo – zaręczyła się z nim pewnego dnia w polu, rumor zrobił się straszny. Teraz wiadano, czemu oboje śpiewali i gwizdali ustawicznie marsz weselny wszędzie, gdzie tylko byli: czy to na strychu, czy w lamusie, czy w lesie, czy na furze siana... słowem, wszędzie i ciągle, w dzień i w noc.

Oczywiście chłopak został natychmiast wygnany z domu i okazało się, że nikt bardziej od córki komornika nie dba o przywileje rodu. A ojcu przyszły teraz na myśl owe dawne proroctwa z tego czasu, kiedy on sam zaparł się swoich tradycji rodzinnych. Rodzina miała się powiększyć o zięcia wziętego z ulicy... Straszne!

Wszyscy mieszkańcy doliny byli tegoż samego zdania.

Tymczasem Cygan Knut, bo takie było jego imię, zabrał się do handlu, zwłaszcza do handlu bydłem, i był powszechnie znany. W całej okolicy on pierwszy jął się takiej pracy na wielką skalę. Był pionierem nowej gałęzi zarobku i spowodował, że chłopci uzyskali teraz wyższe ceny, a wielu z nich doszło do znacznego majątku.

Obok tego Knut bardzo ochotnie brał udział w pijatykach i bitkach wszelkiego rodzaju i o tym przede wszystkim ludzie mówili, nie byli bowiem w stanie poznać się na jego zdolnościach kupieckich i nadzwyczajnym sprycie.

Kiedy Astrid skończyła lat dwadzieścia trzy, sprawa stanęła na ostrzu miecza. Albo cały majątek miał przejść na boczną linię i wyjść z bezpośredniego posiadania rodu Tingvoldów, albo Knut musiał stać się jego członkiem. Rodzice przez swoje małżeństwo utracili moralny wpływ na córkę, która mogła się teraz skutecznie opierać ich woli.

I stało się, jak chciała Astrid. Piękny, wesoly Knut pojechał z nią pewnego dnia do kościoła z tłumnym orszakiem. Dziedziczny marsz weselny, arcydzieło dziadka, grzmiał i huczał po całej dolinie, a oni sami nucili go także z uczuciem wielkiej radości.

Wszyscy byli weseli, nawet rodzice, którzy tak długo stawiali opór, uśmiechali się teraz, aż się temu powszechnie dziwiono.

Po weselu objął Knut gospodarstwo, a rodzice poszli na łaskawy chleb. Ale posiadłość była tak rozległa, że wszyscy zachodzili w głowę, jak Knut i Astrid dadzą sobie radę. W dodatku ogromne te dobra były dotąd dosyć lichy administrowane i skutkiem tego gospodarstwo szwankowało. Knut zaczął od tego, że najął potrójną liczbę czeladzi i robotników, wszystko urządził inaczej i włożył w to sumę przekraczającą wyobrażenie mieszkańców doliny. Przepowiadano mu też niechybną ruinę.

Ale Cygan, jak go i teraz jeszcze zwano, był wesoly i ta weselość udzieliła się też jego żonie. Cicha, dawniej smukła dziewczynka rozrosła się i przemieniła w tęgą kobietę. Wszystko dobrze się układało, rodzice byli zadowoleni. Teraz dopiero zrozumieli wszyscy, że Knut wniósł do Tingvoldu coś, czego tu dotąd nie znano, mianowicie – kapitał.

Zarazem wśród swoich długich włóczęg nabral doświadczenia. Umiał się obchodzić z towarem i dbać o to, aby robotnicy i służba byli zadowoleni i chętni do pracy. Wszystko złożyło się na to, że po latach dwunastu nie można było poznać dawnego Tingvoldu. Budynki były nowe, liczba bydła potroiła się i wszystko wyglądało wyśmienicie, a Knut w długim szlafroku, z piankową fajką w zębach spędzał wieczory przy szklance grogu z kapitanem, pastorem i wójtem.

Astrid podziwiała go jako najmędrszego, najdzielniejszego człowieka na całym świecie i sama opowiadała, że w młodych latach tylko dlatego popijał i brał udział w bijatykach, by o nim szeroko mówiono.

Szła za jego przykładem we wszystkim, nie chciała tylko zmienić stroju i sposobu życia, zachowując swój ludowy ubiór i obyczaje. Knut godził się, by każdy żył, jak mu wygodniej, przeto i pod tym względem panowała między nimi zupełna zgoda.

Spraszal znajomych, a Astrid im usługiwała. Zresztą ubierał się dosyć niepokaznie, gdyż był za mądry, by błyszczeć swym majątkiem i żyć na wysokiej stopie. Niektórzy twierdzili, że przez grę w karty oraz skutkiem stosunków i wpływu, jaki mu to daje, zarabia bez porównania więcej niż się z pozoru wydaje, ale były to zapewne jeno plotki.

Mieli kilkoro dzieci, których dzieje nas nie obchodzą. Jeden tylko, najstarszy, Endrid, spadkobierca majątku, przeznaczony był na to, by świetność rodu okryć dalszym blaskiem. Odznaczał się, jak wszyscy w rodzie, wielką pięknoscia, ale w głowie miał tyle jeno, ile starczyło na „domowy użytek”, jak to często bywa z dziećmi aż nazbyt uzdolnionych rodziców.

Ojciec zauważył to zaraz i postanowił zapobiec temu brakowi przez wyśmienite wykształcenie. Z tego powodu wziął do domu nauczycieli i Endrid, zaledwie dorósł, musiał uczęszczać do szkoły rolniczej, której poziom właśnie w tym czasie uległ znacznej poprawie, a potem został wysłany do miasta.

Wrócił do domu jako cichy, nieco przemęczony naukami młodzieniec, ale nie przyswoił sobie miejskiej ogłady do tego stopnia, jak tego pragnął ojciec. W ogóle nie był zbyt pojętny.

Na tego dobrego chłopca zagięli parol zarówno kapitan, jak i pastor, ponieważ obaj mieli sporo córek. Jeżeli jednak, mając podobne zamysły, z coraz większą uprzejmością odnosili się do Knuta, to srodze się mylili. Myśl o ożenku syna z którąś z biednych, niemających pojęcia o wielkim gospodarstwie córek kapitana lub pastora ani na chwilę nie zagościła w głowie Knuta. Stąd też uważał za potrzebne ostrzegać syna przed czymś podobnym.

Było to zresztą zbędne, bo sam Endrid wiedział równie dobrze jak ojciec, że ich ród musi doznać wyniesienia w inny sposób, że musi wchłonąć w siebie krew innego rodu, równego im liczbą pokoleń i znaczeniem.

Na nieszczęście Endrid był młodzieńcem nieco niezręcznym i niezaradnym w tych sprawach, wskutek czego wszyscy poczeli odnosić się do niego z podejrzliwością. Rozniosła się fama, że rozgląda się on za dobrą partią, a jeśli komuś raz taką łatkę przyczepią, to chłop staje się podejrzliwy i ostrożny.

Endrid spostrzegł to od razu, bo chociaż nie był sprytny, odznaczał się wielką wrażliwością. Zauważył też, że miejski strój i – jak mówiono – cygańska mądrość nie wpływają bynajmniej korzystnie na poprawę jego położenia. Miał dużo szlachetności i uczciwego charakteru oraz subtelności, przeto przykrości doznane tu i ówdzie skłoniły go do stanowczego kroku. Wyzbył się miejskiego stroju i miejskiego sposobu wyrażania się i zaczął pracować u swego ojca jako zwyczajny parobek.

Ojciec zrozumiał to wszystko prędzej jeszcze od syna i poprosił żonę, by udawała, że nie spostrzega zmiany w jego postępowaniu.

Nie mówiła przeto z synem o małżeństwie. Nikt nie dał mu poznać, iż dostrzega zmianę, jaka w nim zaszła. Przeciwnie, ojciec zaczął go coraz bardziej wtajemniczać w swe plany powiększenia gospodarstwa i jego udoskonalenia, wprowadzał go z wolna w szczegóły i dawał wskazówki, tak że powoli cały zarząd przeszedł w ręce Endrida.

I ojciec nie pożałował tego. Endrid pracował, lata mijały, zaczynał już teraz trzydziesty pierwszy rok życia, powiększył majątek ojcowski, a zarazem nabrał doświadczenia, pewności i śmiałości w interesach. Przez cały ten czas nie uczynił ani jednej próby starania się o jakąś dziewczynę zarówno w sąsiedztwie, jak i w innych okolicach i rodzice zaczęli obawiać się, że może całkiem wybił sobie żeniączkę z głowy.

Ale tak nie było. W sąsiedztwie mieszkała pewna rodzina dosyć zamożna, zaliczana do pierwszych rodów okolicy, której członkowie już niejednokrotnie przedtem wchodzili w związki małżeńskie z Tingvoldami. Była tam dziewczyna, z którą Endrid znał się dobrze jeszcze za lat dziecięcych i którą nawet lubił serdecznie. Niezawodnie z dawna już ją sobie upatrzył za żonę, gdyż w pół roku po jej konfirmacji zaczął się starać o jej rękę. Miała wówczas siedemnaście, a on trzydzieści jeden lat.

Randi – takie miała imię – nie wiedziała w pierwszej chwili, co ma uczynić. Zwróciła się do rodziców, a ci złożyli całą sprawę w jej własne ręce. Powiedzieli, że Endrid jest zacnym człowiekiem, co do majątku zaś, to nie znajdzie nigdzie bogatszego męża. Co prawda różnica wieku jest znaczna i nie wiadomo, czy podoła gospodarstwu na tak wielkim majątku oraz czy potrafi wżyć się w nieznane sobie stosunki. Sama musi to rozstrzygnąć i zdecydować – mówili – wszakże o nią samą tutaj wyłącznie idzie.

Randi wydawało się, że rodzice woleliby, aby takiemu konkurentowi dała odpowiedź przychylną, a nie odmowną. Sama zaś nie była zdecydowana, jak ma postąpić.

Udała się przeto do matki Endrida, wiedząc, że ta ją lubi. Była pewna, iż matka wie o zamiarach syna, spostrzegła jednak ze zdumieniem, że jest inaczej, że nie wie nic. Matka uradowała się tak bardzo, że najgoręcej zaczęła ją namawiać, by wyraziła swą zgodę na małżeństwo.

– Pomogę ci! – powiedziała. – Ojciec nie chce ani grosza, ma swego dosyć, nie chce też, by dzieci czekały na jego śmierć. Podział majątku nastąpi natychmiast, a mała częśćka z której żyć będziemy, przypadnie wam również po naszej śmierci. Widzisz przeto, że z naszej strony nie spotkają cię żadne trudności.

Tak, Randi wiedziała, że Astrid i Knut są to ludzie, którzy jej nie sprawią zawodu.

– A Endrid – dodała matka – jest dobry i rozsądny.

W istocie tak było i Randi nie obawiała się żadnych przykrości z jego strony. Nie była tylko pewna, czy potrafi podołać swym obowiązkom.

W kilka dni później wszystko zostało ułożone. Endrid był zadowolony i rodzice również. Rodzina narzeczonej zażywała szacunku, dziewczyna była piękna i rozumna, tak że pod tym względem stanowiła może najlepszą partię w całej okolicy.

Wesele, którego szczegóły uzgodnili rodzice obu stron, miało się odbyć tuż przed żniwami, bo nie było powodu zwlekać z tym długo.

Ale ludzie niewtajemniczeni w te sprawy patrzyli na wszystko w inny sposób. Sądono powszechnie, że młoda, ładna dziewczyna „sprzedała się”. Była tak młoda, że zaledwo wiedziała, co znaczy małżeństwo, i stary Knut pchnął syna w konkury, zanim inni spostrzegli, że dziewczyna jest dojrzała. Wszystko przypisywano jego chytrności.

Coś niecoś z tej gadaniny doszło do uszu Randi, ale Endrid okazywał jej tyle miłości i czynił to w sposób tak pokorny niemal, że nie chciała z nim zrywać. Mimo to stosunki ich oziębiły się nieco. Rodzice słyszeli oczywiście te plotki i zawistne uwagi, ale udawali, że wszystko jest w porządku.

Wesele miało być szumne, może nawet dlatego, by zadać kłam pogłoskom, i samej Randi było to na rękę. Zaproszono oczywiście także zwykłych towarzyszy Knuta: kapitana, pastora i wójta z rodzinami i mieli oni wziąć udział w orszaku weselnym zdążającym do kościoła.

Z tego też powodu nie chciał Knut muzykantów. Uważał to za zwyczaj przestarzały i zanadto chłopski. Ale Astrid obstawała przy tym, by rodzinny marsz towarzyszył państwu młodym w pochodzie ślubnym w jedną i drugą stronę. Zanadto kochała ten marsz, by miała nie przypomnieć go sobie na weselu własnego syna.

Knut nie zwracał sobie zbyt głębiej „poezją” i temu podobnymi rzeczami, przeto zostawił żonie wolną wolę. Astrid dała zatem znać rodzicom Randi, by zamówili muzykantów i kazali im grać dawny marsz, który długo spoczywał w zapomnieniu, bo pokolenie ostatnie pracowało w ciszy, bez muzyki i śpiewek. Przyszedł jednak czas właściwy i marsz musiał wrócić do swych praw.

W dniu wesela padał niestety zimny, jesienny deszcz i muzykanci, odegrawszy marsza pod dachem w chwili wychodzenia orszaku, musieli pochować swe skrzyпки. Wydobyli je z ukrycia dopiero, gdy usłyszano dzwony kościelne, a i tak musiał za każdym z nich stać chłopiec z parasolem. Skuleni pod tym nakryciem, trzęsąc się z zimna, różni dzielnie starodawną melodię.

Naturalnie w tych warunkach, w gęstym, mokrym powietrzu nie mógł marsz rozbrzmiewać wesoło, a także orszak ślubny bynajmniej nie był w radosnym nastroju. Pan młody siedział skulony z cylindrem na kolanach, w kapuzie² na głowie. Miał na sobie kaftan z jałowiczej skóry i trzymał parasol nad panną młodą, spowitą w niezliczoną ilość chustek osłaniających suknię ślubną i wianek mirtowy oraz welon. Była ona w tym wszystkim podobna raczej do kopy siana niż do ludzkiej istoty.

Tak jechali drogą do kościoła – wóz za wozem. Mężczyźni oczekali wodą, kobiety okryte były chustami, a cały orszak był podobny do jakiegoś zaczarowanego pochodu, w którym nie ujrzalbyś ani jednej znajomej twarzy, tylko same pochylone pałuby³ złożone ze szmat i skór.

Przed kościołem był wielki tłum. Wszyscy zbiegli się, by widzieć wspaniałą orszak weselny. Na widok zajeżdżających rozległy się śmiechy, zrazu ciche, potem coraz śmielsze i głośniejsze.

Przed udaniem się do kościoła musiano nieco uporządkować stroje. Wozy stanęły przeto przed wielkim budynkiem. Pod jego ścianą stał właśnie przekupień wędrowny, wesoły drapichrust imieniem Aslak. By lepiej widzieć, włożył on na wóz siana wsunięty pod przybudówkę dla ochrony przed deszczem. W chwili kiedy pannę młodą zсадono z wozu, Aslak roześmiał się i zawołał głośno:

– Niech mnie diabli porwą, jeśli stary Ole Haugen ma dzisiaj za grosz radości, słysząc swój marsz weselny!

Ludzie roześmiali się, przeważna⁴ część uczyniła to skrycie, ale tym lepiej zrozumieli wszyscy, o co idzie Aslakowi i co znaczy jego powiedzenie.

Kiedy rozebrano pannę młodą z całej masy chustek, spostrzeżono, że była blada. Płakała, próbowała się uśmiechać, znowu wybuchała płaczem i na koniec oświadczyła krótko i węzłowato, że nie pójdzie do kościoła.

Nastąpiło zamieszanie, a Randi musiano położyć do łóżka, gdyż dostała takiego ataku płaczu, że wszyscy zatrwożyli się o jej zdrowie. Rodzice stali u jej łóżka i kiedy ich poprosiła, by jej nie zmuszali do ślubu, oświadczyli, że może czynić, co jej się podoba i co uważa za stosowne.

Nagle ujrziała Endrida. Nie widziała w życiu nikogo podobnie nieszczęśliwego, wprost bezradnie zrozpaczonego jak ten człowiek. Gdyby wykonała swój zamiar, zniszczyłaby całą jego przyszłość. Obok niego stała matka. Nic nie mówiła i twarz jej nie drgnęła nawet. Ale lży jedna za drugą toczyły się po jej policzkach i patrzyła bez przerwy na Randi. Wówczas dziewczyna podniosła się na łokciach, przez chwilę patrzyła przed siebie, łkając cicho, a potem rzekła:

– Nie... nie... pójdę... zaraz pójdę!

Padła znów na łóżko, płakała przez chwilę gorzko, potem jednak wstała. Prosiła tylko, by nie grano marsza i w ogóle nic, a życzeniu jej stało się zadość. Odprawiono zaraz muzykantów, ale źle uczyniono, bo wmieszawszy się w tłum, przyczynili się oni do tym gorszego plotkowania.

Bardzo ponuro wyglądał orszak weselny udający się do kościoła. Deszcz sprawił, co prawda, że zarówno panna młoda, jak i pan młody mogli ukryć swe oblicza przed ciekawą gawiedzią aż do samych drzwi kościelnych. Czuli jednak, że idą jak gdyby przez pletnie i że również dla członków orszaku takie wystawianie się na pośmiewisko musi być bardzo przykre.

² *kapuza* – czapka męska, okrywająca uszy i kark. [przypis edytorski]

³ *pałuba* – niezgrabna lalka, kukła. [przypis edytorski]

⁴ *przeważny* – dziś: przeważający, stanowiący większość. [przypis edytorski]

Grób starego Olego Haugena, słynnego muzykanta, znajdował się w pobliżu drzwi kościelnych. Istniała cicha umowa wśród mieszkańców doliny, że grób ten powinien być stale utrzymywany w porządku. Toteż gdy stara kolumna zdobiona go zbutwiała, jeden z potomków grajka postawił na grobie nową. Kolumna miała na szczycie ozdobę w kształcie koła, gdyż tak zarządził sam Ole. Grób stał w miejscu słonecznym i rosły na nim bujnie polne kwiaty.

Odwiedzający kościół stawali przy tym grobie z zaciekawieniem. Słyszeli bowiem, że pewien botanik, który na koszt państwa zbierał wszystkie kwiaty i rośliny w całej dolinie i na otaczających ją górach, znalazł na tym grobie takie gatunki, jakich niepodobna wykryć w obwodzie kilkunastu mil wokół.

Miało to ten skutek, że chłopci spoglądający dotąd z pewną pogardą na to, co zwali po prostu zielskiem lub chwastem, patrzyli teraz na kwiaty z pewnego rodzaju szacunkiem, a nawet z radością. Niektóre z nich były rzeczywiście niezwykle piękne.

Kiedy młoda para przechodziła koło grobu, Endrid poczuł, że dłoń Randi zdrząła w jego uścisku. Wydało jej się bowiem, że Ole Haugen dnia tego wstał z grobu i stoi tuż koło niej jako duch. Rozpłakała się znowu, płacząc, weszła do kościoła i płakała jeszcze w chwili, gdy zajęła swoje miejsce.

W ten sposób, jak dawno pamiętali najstarsi, nie wchodziła do tego kościoła jeszcze żadna panna młoda.

Siedziała i czuła doskonale, że teraz potwierdza się głucha wieść krążąca wszędzie, iż się „sprzedała”. Niestłuchany wstyd, jaki stąd spadał na rodziców, sprawił, że skamieniała na chwilę ze strachu i łzy przestały płynąć z jej oczu.

Ale przy ołtarzu jakieś słowo pastora opacznie zrozumiane wprawiło ją w straszne podniecenie i naraz przygnębiło ją to wszystko, czego doznała w ciągu tego dnia. Wydało jej się, że od tej pory nie będzie śmiała spojrzeć ludziom w oczy, a zwłaszcza własnym rodzicom.

Pod tym wrażeniem zostawała przez całą resztę dnia i nie mogła też siedzieć przy stole podczas uczyty weselnej. Gdy ją prośbami i pogrózkami zmuszono, by zasiadła wieczorem do stołu, zepsuła nastrój całego towarzystwa i musiano ją w końcu położyć do łóżka.

Wesele, które miało trwać cały tydzień, skończyło się smutnie tego samego jeszcze wieczora. – Panna młoda zasłała! – tak powiedziano wszystkim.

Mimo że nikt w jej chorobę nie wierzył, było to jednak w całej pełni prawdą. Randi nie była zdrowa i nigdy już nie odzyskała zdrowia. Skutkiem tego dała życie chorowitemu dziecięciu.

Rodzice kochali je, oczywiście, bardzo, goręcej może nawet, niż gdyby było zdrowe. Oboje uważali, że choroba dziecka jest w pewnej mierze ich winą. Nie zajmowali się nikim i niczym poza swym maleństwem. Nie chodzili nawet do kościoła, bojąc się ludzi. Przez dwa lata pozostawił im Bóg tę pociechę, a potem pozbawił ich i tego.

Pierwszą myślą, która im wpadła do głowy po tym ciosie było to, że zapewne nadmiernie kochali swe dziecko i dlatego je właśnie stracili. Gdy niedługo potem przyszło na świat drugie, obawiali się otoczyć je swą miłością. Nie opiekowali się nim tak jak pierwszym dzieckiem. A dziecko, zrazu słabowite, stawało się coraz zdrowsze i było o wiele weselsze od poprzedniego. Nie mogli się oprzeć urokowi tego maleństwa. Nowa, czysta radość zrodziła się w duszy małżonków. Siedząc przy kołysce dziecka, zapominali o wszystkim, co zaszło. Kiedy miało dwa lata, Bóg zabrał je także do siebie.

Są na świecie ludzie, których troska czepia się ze szczególnym uporem. A trapi ona właśnie tych, którzy – zdaniem bliźnich – powinni być najszczęśliwsi. Endrid i Randi byli jak gdyby powołani do dawania świadectwa prawdziwej wierze i rezygnacji. Już dawniej odznaczeni się nabożnością, zaś teraz oddali się wyłącznie opiece boskiej. Życie w Tingvoldzie płynęło cicho od dawna, teraz zapanowała tam cisza tak uroczysta, jak w kościele przed ukazaniem się kapłana. Pracowano tam niezmiennym trybem, a w godzinach odpoczynku modlono się i myślano o zmarłych. Tej monotonii nie przerwał fakt, że Randi niebawem powiła znowu dziecko. Dwaj poprzedni chłopcy zabrali ze

sobą całą miłość rodziców, trzecie dziecko było i z tego powodu mniej pożądane, że było córeczką. Zresztą rodzice nie wiedzieli, jak długo pożyje. Ale zdrowie matki i pogoda, jaką się cieszyła przez całe niemal ostatnie dwa lata aż do śmierci drugiego chłopca, wyszły trzeciemu dziecku na dobre.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.